Rozdział 10 Opuszczony w Chinach

Hudson usiadł ogromnie wyczerpany ma stopniach świątyni, postanawiając tam spędzić resztę nocy. Już było po pierwszej, a na próżno szukał miejsca, gdzie by mógł przenocować w nieprzychylnym mieście. Wszystkie drzwi wydawały się przed nim zamykać, a był już zbyt wyczerpany, aby pójść jeszcze gdzieś dalej. Wyciągnął się więc na zimnych, nierównych kamieniach, sakiewkę z pieniędzmi podłożył sobie pod głowę, a potem pomyślał, czy też będzie w stanie spać!...

Miał na sobie długą niebieską suknię, pantofle zrobione z sukna, a przede wszystkim trzeba wspomnieć, że głowa jego była w całości ogolona, z tym, że od samego wierzchu zwisał długi warkocz! Wyglądał na Chińczyka w tej mierze, w jakiej można się spodziewać, że będzie na Chińczyka wyglądał młodziutki, niebieskooki, posiadający bardzo jasną cerę chłopiec z hrabstwa Yorkshire, z Anglii!... Ale już kilka miesięcy temu postanowił ubierać się zupełnie tak samo, jak się ubierali Chińczycy, w następstwie czego ściągnął na swoją głowę sporo ostrej krytyki ze strony Europejczyków!... Ale Hudson był zadowolony z możliwości jeszcze swobodniejszego poruszania się pomiędzy Chińczykami, a także miał możność odbywać dalekie podróże - i to do takich miejscowości, w których każdy niemal inny Europejczyk zostałby napadnięty przez tłum mieszkańców nieprzychylnie nastawionych do obcych. A oto po raz pierwszy był zmuszony spać pod gołym niebem. Jakoś ostatnio wszystko zdawało mu się nie udawać. Najpierw w domu, w którym przebywał, wybuchł pożar, który zniszczył wszystkie jego lekarstwa, co było poważną stratą, gdyż zaopatrzenie w nowy ich zapas było rzeczą bardzo kosztowną, a ostatnio - zaledwie dwa dni temu zniknął jego służący, a wraz z nim cały jego bagaż, tak że Hudson pozostał kompletnie bez niczego poza odzieżą, którą miał na sobie. W tej chwili zaś na domiar wszystkich niepowodzeń, nie mógł absolutnie znaleźć miejsca, gdzie by go przyjęto na nocleg. Już sobie ostatecznie ustalił plan działania na jutro rano: spożyje śniadanie, raz jeszcze postara się jakimś sposobem odnaleźć swojego służącego i zaginiony bagaż, a potem powróci do Szanghaju. Byłoby rzeczą daremną usiłować dotrzeć do Ningpo, gdzie obecnie mieszkali Parkerowie, skoro zostało mu tak niewiele pieniędzy do dyspozycji. Wreszcie Hudson przytulił swoją twarz do twardej, nierównej poduszki, westchnął głęboko, zamknął oczy...

Nagle się obudził. Ciało jego było całe napięte, ale się nie poruszył. Co to było, coś się tam poruszało w ciemności? Jakaś postać, którą ledwie mógł dojrzeć w ciemności, ukradkiem przesuwała się po szerokich schodach w jego kierunku. Po chwili Hudson, wciąż jeszcze leżąc cicho, jak gdyby uśpiony, rozpoznał jakiegoś żebraka w łachmanach. Mężczyzna ten cichutko pełzał w stronę odpoczywającego misjonarza, aż wreszcie przystanął, przypatrując mu się. Hudson ani drgnął, dlatego też po jednej czy dwóch minutach, żebrak przekonany zapewne, że śpi, nachylił się i zaczął delikatnie go obmacywać. "Czego ty chcesz?" Hudson odezwał się całkiem spokojnie, ale w jego głosie było coś groźnego! To zaskoczyło żebraka. A więc leżący tam mężczyzna jednak nie spał - ba, sądząc po jego głosie, był całkowicie obudzony i gotowy do podjęcia natychmiastowej akcji! Żebrak więc co prędzej uciekł.

Hudson postanowił umieścić swoje pieniądze w bezpieczniejszym miejscu, aniżeli pod głową, tym bardziej, że był bardzo śpiący, a więc część ich włożył do wewnętrznej kieszeni, resztę do rękawa i znów się ułożył do snu. Ale w momencie gdy już zaczął drzemać, jakiś wewnętrzny instynkt ponownie go obudził. Wyczuł, że w ciemności znów się coś rusza i znów dojrzał przybliżające się cichaczem jakieś postacie: to ten żebrak powrócił w towarzystwie jednego, czy dwóch innych! I tym razem Hudson leżał cicho, dopóki nie poczuł jak jakaś ręka zaczęła szukać za jego głową woreczka z pieniędzmi.

"Czego wy chcecie?" zapytał i tym razem równie spokojnym, ale pełnym wyrazu głosem. Na pytanie to nie

dostał odpowiedzi, ale żebracy cofnęli się o dwa kroki i usiedli.

"Co robicie?" zapytał Hudson.

"Spędzamy noc tutaj, na zewnątrz świątyni - tak jak i ty", brzmiała odpowiedź.

"Jeśli tak, to przejdźcie uprzejmie tam na drugą stronę i zostawcie mnie tutaj w spokoju" powiedział Hudson. "Jest tam dla was dosyć miejsca".

Mężczyźni nie odpowiedzieli nic na tę propozycję, ale siedzieli dalej bez ruchu. Wtedy Hudson usiadł. Nie miało sensu tam leżeć, tym bardziej, że mógł zmorzony snem lada chwila usnąć, a wtedy z całą pewnością zostałby obrabowany z wszystkiego, co miał przy sobie. Dlatego też musiał zachować się mądrze i czuwać!

"Lepiej połóż się i śpij!" powiedział jeden z żebraków rozbrajająco, "w przeciwnym bowiem razie nie będziesz w stanie jutro pracować. Nie bój się" dodał uspokajająco, "my ciebie nie opuścimy. Będziemy uważać, aby nikt ci nie zrobił żadnej krzywdy!" .

"Posłuchajcie, co ja Wam powiem", rzekł na to Hudson głośno. "Nie życzę sobie, abyście mnie pilnowali. Nie potrzebuję waszej opieki, bo nie jestem Chińczykiem i nie oddaję czci boskiej waszym bożkom. Ja czczę Boga, On jest moim Ojcem i Jemu ufam. On mnie ochroni. Wiem dobrze kim wy jesteście i jakie macie zamiary. Dlatego też oświadczam wam, że się nie położę spać, lecz nie spuszczę z was oka!"

Żebracy ani drgnęli. Hudson również. Czas mijał bardzo powoli, gdy tak siedział, plecami oparty o ścianę, próbując nie dać się opanować senności. Od czasu do czasu powiedział do nich kilka słów - po części w celu upewnienia ich, że czuwa, a po części, aby samemu sobie dopomóc w przezwyciężeniu senności. Nareszcie wpadł na pomysł, aby dopomóc sobie w czuwaniu poprzez śpiewanie pieśni, gdy zaś zmęczył się śpiewaniem, zaczął recytować na głos wyroki ze Słowa Bożego, a potem się zaczął modlić. Te ćwiczenia duchowe bardzo go pokrzepiły, a na żebrakach odniosły skutek wręcz przeciwny. Zaczęli jeden na drugiego narzekać, wołali do niego aby się uciszył - aż wreszcie poszli sobie zupełnie! Tuż przed świtem Hudson, widząc, że zniknęli, oddalając się w głąb jednej z wąskich uliczek, nareszcie mógł się odprężyć i nawet przez chwilę spał, zanim miasto nie zaczęło się budzić.

"Lisy mają jamy i ptaki niebieskie gniazda, ale Syn człowieczy nie ma gdzie by głowę skłonił". Słowa te tego dnia nabrały dla niego nowego znaczenia.... Ledwie powłócząc nogami ze zmęczenia, przez cały niemal dzień szedł bez przestanku przez niekończące się pola ryżowe, zdążając do miejsca, w którym miał nadzieję znaleźć statek udający się do Szanghaju. Jego Mistrz dobrze wiedział, co to znaczy być pogardzonym i odrzuconym tak jak i jemu się to przytrafiło poprzedniego dnia, gdy nadaremnie szukał miejsca, gdzie by mógł przenocować. Jego Mistrz dobrze też wiedział, co to znaczy cierpieć zimno i nocować niewygodnie pod gołym niebem i co to znaczy być ściganym przez ludzi bez serca i bez sumienia. Jakżeż małymi i nieznacznymi były jego cierpienia w porównaniu z tym wszystkim, z boleściami i upokorzeniami, które za niego przecierpiał sam Pan Chwały, Jezus Chrystus! Jak małe też miało znaczenie utracenie przez niego całego swego mienia - co zdawało się już być faktem dokonanym. Dusze tych Chińczyków posiadały nieskończenie większą wartość, aniżeli wszystkie jego tak miłe mu ziemskie posiadłości! Dlatego tak bardzo się o nie troszczył, a tak mało jeszcze zależało mu na duszach tych biednych, nie zdających sobie sprawy z wagi zagadnienia i grzeszących ludzi! "O, Panie!" modlił się więc idąc drogą, "przebacz mi wszystkie moje niedociągnięcia. Dopomóż mi wykonywać tylko Twoją wolę, pomóż mi iść śladami Twoich stóp..." Wszystko inne miało bardzo małe znaczenie; najważniejszą rzeczą było iść w ślady Zbawiciela i stać się bardziej podobnym do Mistrza.

Tej nocy mógł już lepiej odpocząć, gdyż został zaproszony przez uprzejmych właścicieli jednej z dżonek, aby spędzić noc na jej pokładzie wraz z nimi, z czego się ogromnie ucieszył. Było mu zimno bez pościeli, ale było ogromną ulgą być wolnym od strachu, że go ktoś obrabuje. Następnego ranka obudził się z bólem gardła, ale z radosnym sercem gdyż zupełnie się pozbył zmartwienia o zaginiony bagaż. Zdał sobie sprawę z tego, że Bóg ma moc, aby mu przywrócić to, co mu zginęło, jeśli uważa za stosowne tak uczynić, a jeśli nie, to postanowił tych rzeczy nawet więcej nie pragnąć!

Teraz pozostawało do zrobienia tylko jedno: znaleźć jakiś statek odchodzący do Szanghaju i udać się tam jak najprędzej. O dalszym szukaniu swego służącego i zaginionego bagażu już nawet nie myślał i dlatego wyruszył do bardzo odległego miasta, w którym miał nadzieję znaleźć taki statek. Zapłaciwszy więc za śniadanie, które spożył w małej przydrożnej gospodzie, stwierdził, że pozostało mu tylko osiemset dziesięć fenów gotówki. Była to kwota wystarczająca akurat na zapłacenie przejazdu do Szanghaju i na zakupienie żywności na trzy, albo cztery dni podróży. A więc naprzód! Trzeba było szukać statku, który by go tam zawiózł!

Ale nie było żadnego statku, który by jechał do Szanghaju. Nawet do Ka-Shing-Fu, miejscowości znajdującej się po drodze do Szanghaju, nikt nie jechał - z taką odpowiedzią wszędzie się spotykał. Z biur agencji żeglugowych udał się na brzeg rzeki, pytając jednego człowieka za drugim, czy czasem nie słyszał o jakimś statku jadącym w kierunku Szanghaju, ale na próżno. Wszystkie statki utknęły w suchym łożysku rzeki, gdzie będą musiały pozostać, dopóki nie spadną deszcze i stan wody się nie podniesie. Może miną jeszcze całe tygodnie, zanim się ruszą z miejsca - a on miał gotówkę wystarczającą zaledwie na jakieś pięć dni! Zdawało się, że już nie ma żadnej nadziei, gdy nagle spostrzegł statek pocztowy, znacznie mniejszy od ciężkich dżonek przewożących towary, których całe mnóstwo rzędem stało przy brzegu rzeki. Stateczek ten posuwał się jakoś naprzód - samym środkiem rzeki, gdzie woda płynęła wąskim tylko strumieniem. Jechał w kierunku Ka-Shing-Fu!

"Hej!" Hudson puścił się pędem w kierunku tego stateczku, zapominając o zmęczeniu i obolałych nogach. Był on w pewnej odległości od niego, dlatego też musiał przebiec niemal że całą milę, zanim głos jego mógł zostać dosłyszanym.

"Czy jedziecie do Ka-Shing-Fu? krzyknął z całej siły. "Nie!" brzmiała odpowiedź.

"Czy jedziecie tym kierunku?" Nie!"

"Czy zechcecie zabrać mnie chociaż ten kawałek, jaki faktycznie jedziecie w tym kierunku?" zapytał Hudson niemal w rozpaczy.

"Nie". Hudson jakby zmartwiał, spoglądając na statek oddalający się od niego. To była przecież ostatnia już deska ratunku! Czuł się wprost chory i zdawało mu się, że przez ciało jego przeszła fala zimna.

"Będzie lepiej jeśli usiądę", pomyślał i zesunął się na trawą porosły brzeg rzeki, czując się nagle ogromnie słaby. A potem już nie wiedział, co się z nim dalej stało.

Jak długo tak leżał nieprzytomny - nie wiedział. Ale gdy stopniowo wracał do przytomności, usłyszał głosy rozmawiających ludzi. Zdał sobie sprawę, że o nim, choć ludzie ci znajdowali się po drugiej stronie kanału.

"On mówi czystym dialektem szanghajskim", powiedział jeden z nich. Czystym dialektem szanghajskim!

Ze słów tych wynikało, że wzięli go za obywatela ich własnego miasta! Po chwili zauważył, że w jego kierunku zbliża się jakaś łódka. Powiedziano mu, że przyjechali po niego i zaprosili go aby wsiadł do tej łódki.

Uprzejmi robotnicy dżonkowi ze współczuciem przysłuchiwali się jego opowiadaniu: sługa jego zniknął wraz z całym jego bagażem, a on sam przez dwa dni go szukał, a teraz nie miał więcej pieniędzy jak na opłacenie podróży z powrotem do Szanghaju - ale nie było żadnego statku, który by jechał w tym kierunku! Ze smutkiem przypatrywali się znużonemu Europejczykowi, ubranemu tak samo jak oni i mówiącemu ich językiem zupełnie tak, jak gdyby był rodowitym Chińczykiem. A po chwili gdy wypił trochę herbaty, dali mu trochę ciepłej wody do umycia nóg - a wtedy aż krzyknęli ze zdumienia, gdy zobaczyli jak pełne były pęcherzy! Ale kłopotom jego nastał kres. Kapitan dżonki dał mu pewną ilość żywności, a następnie znalazł statek płynący do Szanghaju, a nawet zaofiarował się sam zapłacić jeśli zajdzie ku temu potrzeba, koszt przejazdu. Nareszcie odwróciła się od Hudsona fala niepowodzeń.

Po powrocie do Szanghaju Hudson wszczął jeszcze pewne kroki w celu otrzymania jakichś wiadomości, co też się stało z jego sługą, który zniknął z bagażem mającym wartość 40 funtów. Czy też ten człowiek napotkał na jakieś trudności, czy nie został czasem zaaresztowany przez jakiegoś nieprzychylnego urzędnika, chcącego w ten sposób pokazać swój wrogi stosunek do tych, którzy usługi swoje zaofiarowali Europejczykowi? A może po prostu tylko uciekł, przywłaszczając sobie bagaż? Już po krótkiej chwili okazało się, że właśni tak było; doradzano też usilnie Hudsonowi oddać tę sprawę w ręce władz i zaskarżyć go do sądu. Taki człowiek powinien zostać ukarany! Tak twierdzili znajomi Hudsona, a on się w zasadzie z tym zgadzał, ale miał na uwadze jeszcze jeden moment: wie1e razy świadczył swojemu słudze o miłości Bożej, o przebaczeniu, które Pan Jezus Chrystus okazał tym nawet, którzy Go przybijali do krzyża. A oto nadarzyła mu się sposobność ku temu, aby zademonstrować samemu tego ducha przebaczenia - odpłacając dobrym za złe. Zamiast oddać więc sprawę w ręce Chińskiego mandaryna, napisał do swego służącego list, w którym mu wskazał na zło, jakiego się dopuścił i w którym usilnie go poprosił o zmianę swego życia. Hudson pomyślał, że daleko ważniejszą rzeczą będzie, jeśli zostanie dotknięte sumienie tego człowieka i jeśli się nawróci do Boga, a dusza jego znajdzie się pomiędzy zbawionymi od ognia piekielnego, niż jeśli odzyska rzeczy, których wartość wynosi czterdzieści funtów! Hudson byłby chętnie zgodził się ponieść dwukrotnie większą nawet stratę - gdyby tylko ten akt przebaczenia odniósł taki skutek! Oczywiście - jeśliby miał dwa razy więcej pieniędzy. Faktem było jednakże, że ich nie miał. Po wysłaniu listu zabrał się do sprzedawania kilku drobnych rzeczy i mebli ,które jeszcze posiadał, w celu uzyskania środków do zakupienia ponownie tego, co było najkonieczniejsze, aby móc raz jeszcze wyruszyć do Ningpo.

Ale właśnie gdy przygotowywał się do odjazdu, doszła go wiadomość o przybyciu okrętu pocztowego z Anglii. Przyjazd tego okrętu witany był zawsze entuzjastycznie przez europejską ludność, a i Hudson z nie mniejszą radością i ciekawością udał się do biura agencji pocztowej, aby odebrać listy, które może i na niego tam czekały. Przy tej okazji znów go zmierzono od stóp do głów z nieukrywaną złością - dla przystrojonych w cylindry i długie poły panów, widok Anglika z warkoczem i w chińskim ubiorze, również przychodzącego po odbiór listów, był czymś wręcz oburzającym! Ale on się już do tego wszystkiego przyzwyczaił. I rzeczywiście - listy były! Po powrocie do domu z wielką ciekawością je otworzył. Tak bardzo pragnął otrzymać wiadomości od swojej siostry Amelii, od Mamusi, z wieściami z domu, z Barnsley! A może będzie coś od Towarzystwa Ewangelizacyjnego Chin? Jakiś list zawierający też i jego pobory? A może jakiś list od jego przyjaciela Bena, w którym mu zakomunikuje, że zamierza przyjechać i przyłączyć się do niego w pracy na terenie Chin?

Aha! Oto jeden list, adresowany jakąś znaną ręką - od pana Bergera! Ten człowiek wielce się interesował pracą młodego misjonarza i kilka razy już napisał pokrzepiające listy, pełne ciepła i serdeczności, dzięki

którym serce Hudsona doznawało wielkiej pociechy i zachęty. Otworzył go i przeczytał co następuje:

"Proszę przyjąć to, co jest załączone, jako dowód miłości ode mnie i mojej żony". Coś jest załączone - ale co to jest? Hudson rozwinął mały skrawek papieru, różowego koloru, który był również włożony do koperty i ku swojemu niezmiernemu zdumieniu stwierdził, że był to czek wystawiony na niego, a opiewający na sumę czterdziestu funtów! Hudson przez dłuższą chwilę nie mógł złapać tchu, ani też odwrócić wzroku od tego kawałka papieru!...

Raz jeszcze danym mu było przeżywać dalszy namacalny dowód, że Bóg wiedział o wszystkich jego sprawach: stracił bagaż wartości 40 funtów - a oto przyszły pieniądze, aby mógł sobie kupić na nowo to, co utracił! A co ciekawsze, pieniądze te zostały wysłane z Anglii co najmniej sześć tygodni zanim mienie jego zostało mu skradzione! (podówczas nie miał też ani pojęcia o tym, że druga taka sama suma była w drodze do niego, wysłana przez jeszcze kogoś innego!) Jakże więc bardzo się cieszył, że nie podjął żadnych kroków w kierunku ukarania swojego służącego za dokonanie kradzieży jego bagażu! Gdy więc raz jeszcze przejeżdżał przez przepiękną prowincję Chekiang, pełną sadów, stromych małych pagórków, wierzb i pól ryżowych,, czuł się jak chłopiec, który zdał jeszcze jeden egzamin i który w głosie swego nauczyciela wyczuł nutę pochwały, gdy ten mu powiedział: "Dobrze!"